

Henryk J. Kozak

W cieniu
ciszy



Wydawnictwo Lubelskie

Projekt okładki i karty tytułowej
M. SZYBOWSKI-KRUCIENSKI

POD POWIEKĄ

Redakcja

KONSTANTYŃSKI WYDAWSTWO BIAŁOŚCIE

Henryk J. Kozak

W cieniu
ciszy

Wydawnictwo Lubelskie

WYDAWNICTWO LUBELSKIE - LUBELSKIE

Wydanie I. Nakład 1000 egz. Ark. druk. 480. Papier: 60 g/m².
1981 r. Podpisano do druku w sierpniu 1981 r.
Druk offsetowy w Zakładzie Drukarskim

Druk: Lubelskie Zakłady Drukarskie w Lublinie

ul. Unicka 4, Zam. nr 2210, R-1

Projekt obwoluty i karty tytułowej
M. ZDRODOWSKI-ZDROZDOWSKI

Redaktor
JADWIGA BIAŁOWAŚ

Redaktor techniczny
MAREK ŁOŚ

REGIONALIA



Miejska Biblioteka Publiczna
Biała Podlaska



XIII B
Łoś

108479

821.162.1-1

XIII B.1

ISBN 83-222-0219-9

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie,
Lublin 1982

WYDAWNICTWO LUBELSKIE • LUBLIN 1982

Wydanie I. Nakład 1728+272 egz. Ark. wyd. 2,2.
Ark. druk. 5/16. Papier druk. sat. kl. III, 70 g,
70×100 cm. Oddano do składania w listopadzie
1981 r. Podpisano do druku w lutym 1982 r.
Druk ukończono w marcu 1982 r. Cena zł 25.—

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne w Lublinie,
ul. Unicka 4. Zam. nr 2379. R-2.

POD POWIEKA

Robertowi i Piotrkowi

Ten obraz wciąż tli się pod powieką
jest sierpień i zmierzch
idę boso
w ojcowskiej porwanej kapocie
ścieżką wzdłuż płotów
i wymachując szablą
kijem sękatym
ścinam głowy glinianym garnkom
które wygodnie i stadami
jak jakieś dziwne sroki
na sztachetach przysiadły
a za mną z chałup wybiegają
babcie stuletnie
podwórek strażniczki
stają w furtkach rozwartych
i drą się na wieś całą
że to znów ja
ten cholerny bachor Kozaków
i kto go wreszcie
ze wsi przepędzi
Panem Bogiem mnie straszą
piekielnymi mękami

a ja
przez sady uciekam
w parujące łąki
i do późnej nocy leżę w trawie
tylko z gwiazdami
i udaję
że nie słyszę głosu
nawołującej mnie matki

dopiero nad ranem
rudym lisem
wślizguję się do domu
pamięć tego obrazu
pamięć odeszłych bajek
pamięć o tych staruszkach
mądrych i dobrych
pamięć ich pieśni
już nigdy potem
piękniejszych nie słyszałem
niech trwa
niech mi ogniskiem płonie
pod powieką

CZERWCOWY ZMIERZCH

Czerwcowy zmierzch skrzypią wierzeje
pustych jeszcze stodół
w liściach
ucichł wiatr
z każdą minutą wyżej
podnosi się niebo
a w stawie
coraz niżej
gwiazdziste
opada dno

zaczyna się pora nietoperzy
i świerszczy
czerwcową noc

CIENIE

Noc idzie
cienie topól przepłynęły rzekę
kładą się na wiejskiej drodze
wpełzają na płot
aż się biedak
pod ich ciężarem
jeszcze bardziej
ku ziemi
pochylił

którejś burzliwej nocy
runie
i nikt go już
nie podniesie

w otwartej stoję bramie
czekam
choć wiem
że poza nocą
nikt do mnie
nie idzie

patrzę
jak rozplywają się w szmerach nocy
długie cienie
przydrożnych wiązów
nadrzecznych topól

PAPIERÓWKI

Lipcowy wieczór burza

za rzeką

płoną stogi

odejść od okna

prosi matka

nie wypatruj

dzisiaj

nie przyjedzie już

autobus

a ja tymczasem

uspokoję niebiosa

abyś mógł sobie nazbierać

jablek na drogę

i z obrazem świętego Floriana

na podwórko wychodzi

i wtedy nagle

cichnie burza

do remizy zjeżdżają

smutne

strażackie wozy

w zmierzchającym sadzie

w trawach
pomiędzy rzędami jabłoni
zapalają się
żółte światełka
papierówek

jakby ktoś niewidzialny
rozrzucił
grudki złota

WIDZIAŁEM

Widziałem słowo dając był
sierpień i zmierzch
Mleczną Drogą uciekała
ku najodleglejszej gwiazdzie
wieś

a przecież nic się nie zdarzyło
z pól
zmęczeni wracali ludzie
w przydrożnym sadzie
wesoło krzyczał ptak
na pogodę
biały koguty
i jak co dzień
mgłą
parowała rzeka

a jednak nagle
zniknęła
w bezkresie kosmosu
w ten cichy i ciepły

sierpniowy zmierzch
przemieniła się w gwiazdę
i dziś
coraz jaśniejszym
blaskiem świeci

Oto moje gospodarstwo

cztery ściany

leżało w

konie

z nie istniejącą już ciekawością

i lampą która

tylko ma

i sobie

świeci

z olśnieniem

widok na słońce

w tym

tylko moje jest

przeżycie paszów

jabłek spadanie

tajemnicze szepty traw

świergot jaskółek

uwijających się pracowicie

poniedziałek konarum

wieści nie mam nic

MOJE GOSPODARSTWO

Oto moje gospodarstwo
cztery ściany
krzesło stół
ikona
z nie istniejącej już cerkiewki
i lampa która
tylko mnie
i sobie
świeci

z okna mam
widok na sad

w nim
tylko moje jest
brzęczenie pszczół
jabłek spadanie
tajemnicze szepty traw
świergot jaskółek
uwijających się pracowicie
pomiędzy konarami

więcej nie mam nic

więcej nic mi nie potrzeba
żyję tu
spokojnie i sam
marzeniami

Noe jak bar
opęta nagle
i śwista w
ziaty się z Mieczna Drogą

zsa twóci
na pałacu
jak kot podchodzący nado wroble

czasa
do wsi się skrada
wypełnia podwórka
sien z sienia
wlewa się do stodoł
i studni

wiatr wydmie ostatnie kominie
w polowywach przepadła
jeszcze za dnia
dnia

spłi się zapachem siana
schnącego za stodołami

wtedy przysaz
a gdzie w tej bajce
jest miejsce dla ludzi

LIRYCZNA NOC

Noc jak bat
opadła nagle
i światła wsi
zlały się z Mleczną Drogą

zza rzeki
na palcach
jak kot podchodzący stado wróbli
cisza
do wsi się skrada
wypełnia podwórka
sień za sienią
wlewa się do stodół
i studni

wiatr wydaje ostatnie tchnienie
w pokrzywach przepada
jeszcze za dnia
drań
spił się zapachem siana
schnącego za stodołami

wtedy pytasz
a gdzie w tej bajce
jest miejsce dla ludzi

ludzi nie ma kochana
śpią
bardzo zmęczeni
nie przerywajmy im dobrych snów
śpijmy



ROZPACZ CHLEBOWEGO PIECA

Boli mnie rozpacz
chlebowego pieca
od lat
pusto i zimno
w jego wnętrzu
czasami tylko
mysz strwożona przemknie
wpadnie na chwilę wiatr

znam jego najskrytsze marzenia

chciałby się jeszcze raz
do czerwoności rozpalić
zasłuchać
w trzaskanie brzoźowych polan
odurzyć
zapachem chleba

Matko
przynieś ze strychu dzieżę
rozczyn ciasto

JABŁONKA

Ten sad czy jeszcze istnieje
nie wiem
nie byłem tam
już tyle lat
piętnaście
a może tylko dziewięć

rosła w nim jabłoń ogromna
zaczarowane rodziła owoce
posadził ją mój dziadek
mąż babci Michaliny
umarł na tyfus zaraz
po pierwszej wojnie

korzeniami we mnie wrosła
rozsadza moje myśli
serce
lecz przysięgam
nigdy i nikomu
wyrwać jej nie dam
z siebie

POWÓDŹ

Wczoraj nocą
utonął
w Krznie księżyc

na pomoc przybył
Wielki Wóz

zbiegły się gwiazdy
nachyliły gałęzie
olszyn i jarzębin
z trzciny
uplotły sieć

nie pomogło

rozpacz poszła po niebie
pokryło się chmurami
zapłakało
drabinę utkało
z błyskawic

nad ranem
wezbrały wody Krzyny

LISTOPAD

Za oknem jesień
zimna i mglista
moja trzydziesta piąta

liście na drzewach
w śmiertelnych plamach
bładoróżowych
gorączką płoną

cicho
bez jednej skargi
spływają na ziemię

zdumiewa ich spokój

przeraża listopad który
tylko nad sobą
szłocha

GRUSZE

Ciągle jestem na wsi
drepę opłótkami
tą samą
piaszczystą drogą
pod sklep na piwo
do remizy w niedzielę
i chałupiny opisuję
choć
już dawno je rozebrano
i spłonęły
lecz ku rozpacz
nie w chlebowych piecach

wszystko odeszło
ludzie domy i sprzęty
stare pieśni
nazwy
i słowa
nawet bociany
gdzieś się wyniosły
ogrodzono łąki
w ugory
zamieniono pola

zostały tylko
grusze na miedzach

opuszczone i stare
coraz bardziej niepewne
swego przyszłego losu
jak ja

Skonczył się ten czas
pełen błędów i ciędn
fale jeziora i
z piasku i
wiatr do
rozwieje na
nie xania
i słowa
jakie to
że wolał
jestem
a wiesz
w
chłód i
wrocy

nie zaprzeczaj Marie
słowa
straciły znaczenie
? rozonę już kół?

WCIAŻ RAZEM

Ta noc majowa
pełna błysków i cieni
szmerów i

westchnień

nawoływań

do rana

już chyba

nie zaśnie

pomyśl

jakie to szczęście

że wciąż

jesteśmy razem

i że wraz z nią

możemy przekroczyć

próg

nowego dnia

DO MARIO
ŻAL

Skończy się lato
spłowieją trawy
fale jeziora
ślady naszych stóp
z plaży zmyją
wiatr
rozwieje na wszystkie
świata strony
nasze czule gesty
i słowa
złoty wrzesień
zmeni się
w łzawy październik
a wraz z pierwszym śniegiem
w serca nasze
chłód i zima
wkroczy

nie zaprzeczaj Mario
słowa
straciły znaczenie
i zatoneła już łódź

co miała nas przewieźć
na brzeg
słonecznej i cichej
zatoki

Ta noc była tak spokojna
pełna błękitu i jasności
szmeru i ciepła
głębokości i spokoju
nawoju i wywołania
do rana
już cię
nie żałuję
światła strona
nie żałuję
pomyśleć
i słowa
nie żałuję
ze słowa
jestem
w ławie
wraz z pierwszym
w sercu
progi
nowego dnia

nie zapomniał
słowa
stał się znaczenie
i zapomni już być

DO MARI

Mario

w naszym domu jest teraz tak cicho

że nawet bicie własnego serca

napełnia mnie lękiem

znasz je przecież

jest już jak spracowany koń

przed byle górką staje

i może się zdarzyć lada dzień

że i bat nitrogliceryny

mu nie pomoże

Mario

w naszym domu dziwne rzeczy się dzieją

nocami po pokojach krążą

jakieś cienie

widma jakieś

czuje

że spiskują przeciwko mnie

zdarza się że nagle

włącza się radio

telewizor zaczyna chodzić

a wczoraj przed północą

ne ekranie ujrzałem

swoją twarz

poszukiwano mnie
za morderstwo
boję się że i ty
też to widziałas

brak mi ciebie twoich rąk
czy nadal są takie gorące
twoich ust
jakie są teraz
rozchylone
wilgotne
kto je całuje teraz

Mario
pościel wciąż jeszcze pachnie tobą
i w każdym
lustrze jesteś
stoisz uśmiechnięta
i naga

człowiek którego wezwałem aby je
naprawił
powiedział że on także
coś w nich dostrzega
lecz ledwie cień jakiś
może to zarys
twoich bioder
czarodziejskie te lustra mówił
i bezskutecznie namawiał mnie
ażebym mu je sprzedał

Mario

u nas noce są już bardzo chłodne
i pewnie wkrótce spadnie śnieg
a naprzeciwko naszego okna
w zdziczałym sadzie
od tygodnia
stado szpaków nocuje
i zachowują się tak głośno
może to dlatego
nie mogę spać

brak mi ciebie twoich oczu
kto w nie patrzy teraz
kto gładzi twoje włosy
kto je całuje nad ranem
z kim oglądasz wystawy
z kim się opalasz
i kto
kto ci na biodrach rękę kładzie

PIKNIK

W niedzielne popołudnie
rozłożyliśmy się z przyjaciółmi
w nadrzecznej trawie
spokojni i szczęśliwi
pijąc ciepłe
cierpkie wino
mówiliśmy o przyjaźni
we wszystkich przypadkach
odmienialiśmy
słowo miłość
w niedzielne popołudnie
nic się nie wydarzyło
tylko nasze dzieci
na piaszczystych wzgórzach
aż do zmroku
bawiły się
w wojnę
lecz ledwie cień jakis
może to zarys
twoich bioder
czarodziejskie te hasty
i bezakutecznie namawiał
ażebym mu je sprzedał

ZEGAR

To nie ja przegrałem z czasem
to czas się we mnie zatrzymał

odchodzę bez żalu
z tej śmiertelnie nudnej
białej areny
ściany
na pozycje
z góry
na strychu
upatrzone
na żer rdzy
i korników
na pastwę wiecznej
ciemności

LIŚĆ

Kobieta stoi na progu domu
i mrużąc oczy patrzy
na wirujący
w mdłym
jesiennym słońcu
liść klonu
na mężczyznę w głębi sadu
na dziecko przy nim

jeśli liść upadnie u mych stóp myśli
znów będę szczęśliwa
a on mi wybaczy

wtem
nagły podmuch wiatru
unosy liść w górę
a potem
rzuca nim o ścianę domu
kobieta podbiega
chwytą liść w dłonie
i przytula do serca

jest gorący
parzy jak wspomnienie
kogoś bliskiego

jak nie spełnione marzenia

ukradkiem ociera łzy

wchodzi na schody

boi się otworzyć drzwi

ŚNIŁ ŻE WRACA

Tej nocy śnił że wraca
widział drogę wzdłuż lasu
były chyba żniwa
na drodze
siedem fur kopiastych
dołączył do idących obok
dawno zmarłych już ludzi

dom zastał na swoim miejscu
tylko może mniejszy
bardziej pochylony
i zdziwił się że z progu
dachu może dotknąć
ręką
i rozśmieszyły go
okienka
jakby z bajki
przeniesione

widział sad a dalej
łąki i rzekę
pasące się krowy
nad rzeką chłopca
z książką w ręku
za rzeką kościół

słyszał jego dzwony
gwar odpustowy

nagle obraz się zmienił i zobaczył

matkę

jeszcze bardzo młoda

pobiegł ku niej

już miał jej dotknąć

ucałować ręce

gdy znikła

otworzył oczy

kobieta obok chichotała

BIAŁY SAMOCHODZIK

Dobrze jest mieć mały
biały samochodek
dobrze jest nim pojechać w niedzielę
do rodziny na wieś
po kartofle
małą
i kurczaki

uciec
porzucić chociaż na parę godzin
miasto
swoje tęsknoty
klęski
i rozpacze

ten mój biały
mały samochodek
powoli staje się przedmiotem
rodzinnego kultu
blednie przy nim nawet
nowy traktor brata

dbaj o niego
radzi z uśmiechem ojciec
nie zostawiaj

na noc
przed blokiem
jak wyżywisz rodzinę
gdy ci go ktoś
ukradnie

Nachodzą mnie
moje lata młodości
tamci ludzie
tamte prąd
ciepło
długie wieczory w sędzi
żniwa
wiosny
i tamten strach
gdym po raz pierwszy
wskazał do miasta
i zachłystując się miastem
aż po upadek
i czyjeś usta
oczy

nachodzą mnie nocami jakby
bały się spotkania ze mną
lekiwie patrz w oczy
o wypaczenie proza

szły wiele
naobcywały

o światle

TAMTE LATA

Nachodzą mnie
moje lata młode
tamci ludzie
tamte ptaki
cieple
długie wieczory w sadzie
żniwa
wschody
i tamten strach
gdym po raz pierwszy
wkraczał do miasta
i zachłyśnięcie się miastem
aż po upadek
i czyjeś usta
oczy

nachodzą mnie nocami jakby
bały się spotkania ze mną
lękliwie patrzą w oczy
o wybaczenie proszą
zbyt wiele
naobiecowały
o świecie

umykają chyłkiem
zostawiając mnie
z rozpaczą
i strachem

MOJE LAKI

towny jak słońce

Musisz koniecznie przyjechać

takich jak

nigdy jeszcze nie widziałeś

a jak pachną

w nich

śpiew ptaków

szum wiatru

skrzypce pasikoników

w nich

nawet burza

jest cicha

w nich możesz bezpiecznie

porozmawiać ze sobą

i nikt

twoich marzeń

i planów

nie zdradzi

w nich

wszystko co zle

zdarzyło się w życiu

wyda ci się nieprzy-

odległe

MOJE ŁĄKI

Musisz koniecznie przyjechać
takich łąk
nigdy jeszcze nie widziałeś
a jak pachną

w nich
śpiew ptaków
szum wiatru
skrzypce pasikoników
w nich
nawet burza
jest ciszą

w nich możesz bezpiecznie
porozmawiać ze sobą
i nikt
twoich marzeń
i planów
nie zdradzi

w nich
wszystko co złe
zdarzyło się w życiu
wyda ci się niebyłe
odległe

przyjedź
pójdziemy razem

z moich łąk
nie żal jest nawet
nigdy nie powrócić

Amien
do mnie przyjdź
w centrum
już szaleje zamek
i na obywateli
obowiązuje
ostatni stopień

udają przy
ogrzęję ci serce
wyczaruję
przyjane
nie zostawiaj
w tym państwie
samej

MODLITWA

Jedno mam tylko pragnienie
dzisiaj
w żarliwą modlitwę je
zmieniam
żeby tylko nie było wojny
żeby tylko nie było wojny
żeby tylko nie było wojny
pożarów i zabijania

Amen

nawet burza
jest cisza

w nich możesz bezprzesznie
porozmawiać ze sobą
i nikt

twoich marzeń
i planów
nie zniwodzi

w nich
wszystko co złe
zdarzyło się w życiu
wyda ci się niebyłe
odległe

MONOLOG NAFTOWEJ LAMPY

Nie wybieraj się w podróż
śnieg zasypał
wszystkie drogi
ludzie
zamknęli się w domach
nawet w oknach
nikogo

dzisiejszej nocy jak podało radio
temperatura spadnie
do minus trzydziestu Celsjusza
w centrum
już szaleje zamieć
i na obszarze całego kraju
obowiązuje
ostatni stopień zasilania

usiądź przy mnie
ogrzeję ci serce i dłonie
wyczaruję
przyjazne cienie na ścianach
nie zostawiaj mnie
w tym pustym i ciemnym
mieszkaniu
samej

MONOLOG OGNISTY PTAK

Od lat
od dzieciństwa prawie
prześladuje mnie w snach
okrutny
ognisty ptak
wszystko co tylko zbuduję
burzy
podpala
o świcie sprawdzam
faktycznie
gruz popiół kurz
nic i nikogo
dookoła

samoj

MODLITWA DO MOJEJ
GWIAZDY

Gwiazdo moja jesteś jeszcze
twój to blask
przedziera się lku mnie
z otchłani kosmosu
a może już umarłaś
już nie swoim
światłem świecisz

daj znak
jeśli mnie jszcze dostrzegasz
oto stoję na balkonie
siedem pięter nad ziemią
od dawna
samotny

a tam w górze
za ciemną chmurą
słodką tajemnicą kusi
nocne niebo

a znów z dołu
głosem świerszczy
wabi ziemia

gwiazdo moja
cokolwiek zrobię
przebacz mi
przebacz

MODLITWA DO GWIAZDY

Gwiazdo moja jesteś jasność
moją gwiazdą
przebacz mi
przebacz mi
przebacz mi
przebacz mi
przebacz mi
przebacz mi
przebacz mi
przebacz mi
przebacz mi

gdaj znak
jest mi jasność
oto stój na balkon
nieś w sercu nad ziemią
ob hawanie
samolety
nie i nikogo
dookoła

a tam w górze
na ciemną chmurę
światłość tajemnicza
niebo niebo

a mój z bólu
głosem świątecznym
woli ziemi

ZNAKI

Nie ma spokoju
ni we mnie
ni w tobie
nawet niebo trawi
jakaś straszna
epidemia
nocami gwiazdy
całymi pułkami
sypią się w pola
i łąki
jak papierówki w które
sierpniową nocą
znieńacka uderzy
wicher

ulice miasta
są puste
smutne
i ciche

FRAGMENT ŻYCIORYSU

Już pierwszego dnia wtłoczono nas
w garnitury skrojone na wyrost
i słyszeliśmy słowa które
nic nie oznaczały
trwało to tak długo
aż nauczyliśmy się ich języka

grzeczni potulni i cisi
jak południowy letni wietrzyk
mówiliśmy tak proszę bardzo
uprzejmie dziękuję możecie
liczyć na mnie przepraszam
to moja wina

nie mieliśmy pytań
i dzisiaj
od nowa
uczymy się życia

jakże śmieszni byliśmy obydwaj
ja czekający na fotel
ty na wielkie zdarzenie
na stroniczkę w podręczniku historii
pisanej na płocie
i murze

SKRZYWIENIE ZAWODOWE

Zagubiłem się w życiu zupełnie
ja już nawet
dobra od zła
nie odróżniam
wiem tylko jedno
nienawiść i miłość
jednakowo kończą się
zbrodnią
rozbojem przyjaźń
gwałtem
podanie rąk

żyję oczekiwaniem
na swojego
mordercę

ŻE

Że żyję tak
z dnia na dzień
byle żyć
czyja to wina
że jestem samotny
biedny
cały ze strachu
że nie kocha mnie
nikt
nawet Ty
śnisz się tylko
a w snach
drwisz

jakże śmieszni byliśmy obydwaj
ja czekający na hotel
ty na wielkie zdarzenie
na stronice w podręczniku historii
pisanej na płocie
i murze

SAMOTNOŚĆ

Żeby tak kogoś mieć
otworzyć się przed nim
powierzyć siebie
jak największą
tajemnicę

kogoś
komu można zaufać
kto nigdy nie zdradzi
nie oszuka
a gdy będę
spragniony i głodny
gdy będzie mi bardzo źle
rękę poda
zaprosi
i ugości
choćby miał nawet
mniej niż ja

na tym dziwnym okrutnym
świecie
(jakiż dramatyczny banał)
musi być taki ktoś

lecz ja chyba
wciąż po omacku
szukam

WIGILIA 79

Noc i cisza wieżowce
jak ogromne choinki
i wydaje się
że toną
w śniegu

na ulicy
nikogo

jedyne co się porusza
to elektrycznych lamp
światliste kręgi
i biegnąca do ciebie Matko
moja czuła myśl

O SOBIE

Niewiele o sobie wiem
coraz mniej
siebie rozumiem

nie wiem nawet
jak żyć

żyję więc
tak jak umiem

BOJĘ SIĘ MOICH SNÓW

Ciągle jestem w drodze
tylko w snach powracam
niech będą pochwalone
moje tajemne
nocne drogi
kłamiam się moim snom
w nich
znów ten sam dom mnie wita
jakką przed niedzielą
czysty
wymieciony
strudzona matka na progu
ten sam
w kuchennym piecu ogień
za oknem wiaz
silny
i ogromny
nie to co ja
on nawet gałązki
złamać sobie nie da

moje sny
nie zestarzeją się chyba nigdy
one z każdym dniem
stają się coraz młodsze

i wszystko w nich widać
wyraźniej
ostrzej

zwycięstwa okazują się porażkami
porażki
przybierają rozmiary
klęsk

boję się moich snów
ja który ciągle jestem w drodze
prawdopodobnie donikąd

widział twarz kobiet
leżała po bokach
to w ich ramionach
umiesz przeglad
ale drzazaj
patrzył na nie
jak na istoty
z innego wymiaru
z innej przestawni
ich druzie i chwile ramiona
choc cię dopad

NAWET KRZYK PTAKA

Coraz częściej otwierasz drzwi marzeniom
bajkom dzieciństwa które
choć w strzępach
ocalały jeszcze w tobie
i tlą się

przywołujesz twarze przyjaciół
usiłujesz sobie przypomnieć
co was rozdzieliło
choć wiesz
że to po prostu życie
(pieniądze zawiść
sukces miłość)

widzisz twarze kobiet
krążą po pokoju
to w ich ramionach
umrzeć pragnąłeś
ale dzisiaj
patrzysz na nie
jak na istoty
z innego wymiaru
z innej przestrzeni
ich długie i chciwe ramiona
chcą cię dopaść

uciekasz przed nimi
przedzieras się przez dżungłę
martwych zapewnień
zimnych dłoni
wyblakłych oczu
zmatowiałych włosów

boisz się
zatracasz się we wspomnieniach
nawet nagły krzyk ptaka za oknem
napęlnia cię lękiem

PYTANIA

Kto to jest we mnie który kłamie
kto to jest we mnie który nienawidzi
kto to jest we mnie który udaje
kto to jest we mnie który drwi
czy jest ktoś we mnie

i czyj to śmiech kto ze mnie się śmieje
gdy tak sam nie sam leżę w wysokiej łące
czy ten który zdradza czy ten który przebacza
i w czym mi bardziej do twarzy
w masce błazna czy żebraka

widział twarze kobiet
krążą po pokoju
to w ich ramionach
umrzeć pragnąłeś
ale działaj
patrzysz na nie
jak na isłoty
z innego wymiaru
z innej przestrzeni

ich długie i chwiejne ramiona
chcą cię dopaść

MUSZĘ SOBIE PRZYPOMNIEĆ

Muszę sobie przypomnieć
kiedy ostatni raz
byłem szczęśliwy

to mogło być wtedy gdy jeszcze
umiałem

zachwycić się łąnem
kwitnącego żyta
słońcem
chmurą
drzewem
rozculić się nad rannym ptakiem
znalezionym w trawie
strzępem pajęczej sieci
uginającym się pod ciężarem jabłek
sadem
spowiadać się
przed wysokim
wiosennym niebem
marzyć kochać czekać
zadumać się nad losem człowieka

to musiało być właśnie wtedy
mogłem wracać z wesela
o świcie

miedzą
jeszcze pełen muzyki
i radości
z czyjegoś szczęścia

mogłem też iść w ciepłym zmierzchu
roześmianą ulicą
wielkiego miasta
donikąd
aby dalej
bez celu
przed siebie

a może to było wczoraj
lecz ja o tym
nic jeszcze nie wiem

muszę sobie przypomnieć
muszę wreszcie dowiedzieć się
co to jest szczęście

PRZECZUCIE

Tak będzie chociaż jeszcze dzisiaj
nawet nie przeczuwasz
tego w sobie

któreś z tych dziwnych
lepkich nocy
one przychodzą niepostrzeżenie
obudzisz się nagle
w pustym domu
i staniesz
oko w oko
przed najzacieklejszym twoim wrogiem
przed sobą

i choćbyś nie wiem jak bronił się
z przestachu
twarz w poduszkę wtulał
to jednak przegrałeś wykrzyczy
ten drugi w tobie
kim jesteś spyta
już ciszej
jakby z politowaniem

co mu wtedy odpowiesz
gdzie odwrócisz oczy

jak się przed nim
przed sobą
wy tłumaczysz

tak będzie
już od dzisiaj zacznij
przygotowywać się na to
spotkanie

WIECZOREM

Wieczorem moje chore oczy widzą
dalej
głębiej
i więcej

dopiero wieczorem
moje oczy widzą
rozpasaną i wszechobecną
drapieżną i cyniczną
ciemność

CHCIAŁEM

Chciałem opisać samotność

cóż

wtedy jeszcze nie wiedziałem

że już lęk przed nią

wytrąca pióro

chciałem opisać miłość

poraził mnie

strach

przed rozstaniem

chciałem opisać życie

zakołowało

umknęło

chciałem

POCZTÓWKA Z WAKACJI

Koniec sierpnia deszcz
zimno i mglisto
od kilku dni
prawie że nie wychodzimy z namiotu
nie dociera prasa
jezioro wzburzone
i złymi wiadomościami
trzeszczy
nocne radio

i coraz częściej
budzi nas o świcie
warkot
umykających z campingu
samochodów

jeszcze dzień dwa
a zostaniemy sami

poza tym
jest tu spokojnie
i cicho

MOJE MIASTO

Potężne i ogromne jest moje miasto
jego mury
nie do przebicia
wieże
za wysokie nawet dla ptaków
ciemne jego twierdze

pod nimi
plątanina lochów

ile to już lat
zdobynam je bezskutecznie
który to już rok
trwa moja
bez nadziei na zwycięstwo
z nim wojna

w końcu
koniem trojańskim
wedrę się tam chyba

STYCZNIOWA NIEDZIELA

Za oknem sroży się zima
na południe
uciekają chmury
i wrony
wiatr
zaprzągił się do niewidzialnych sanek
środkiem ulicy wiezie
martwe choinki
w styczniowym słońcu
resztki anielskich włosów
krople wosku
jak łyzy
skrzą się na nich
godzinami
w oknie stoisz
wypatrujesz
lecz pomiędzy blokami
nie rozdzwonią się sanie
zaprzężone w dwójkę
karych koni

nie pojedziesz
wśród nocnej ciszy
przez pola
za rzekę
aż na siódmą wieś
nie zatańczysz oberka
w remizie

zresztą tam
już nikt
nie czeka
na ciebie

JA WŁÓCZĘGA

Sprzedać samochód
dom ziemię sad
nie mieć nic
i jak mój ojciec Jan
i jak mój spod Lwowa dziadek

Konstanty

żyć byle jak
na koszt jesieni
w zgodzie z naturą
matką naszą

tu ukraść kartofli kosz
ognisko pod księżycem rozpalić
tam znów nocą
jak Cygan
albo lis
cudzy kurnik odwiedzić
słonecznikowi głowę ukrećić
z płotu
gdy nie widzi nikt
zdejść wianek cebuli
tytoniu liść
mleka z bańki
upić łyk

i co noc

w innym spać stogu

i co noc

inne gwiazdy oglądać

i co noc

inny słyszeć wiatr

to nic

że ludzie nazwą włóczęgą

sobą być

od wsi do wsi

z miasta do miasta

swego życia tobolek

w pogodzie nieść

Z WĘDRÓWEK

Jesień i wieczór dym nad kartofliskiem

smutne wrony

traktor na wyboistej drodze

w tle

mroczniejący las

nad nim księżyc

pomiędzy rzędami sosen

światła wsi

migotliwe

blade

co za radość

być tu o zmierzchu

w ciszy sięgającej Mlecznej Drogi

słuchać

płynących zza rzeki

jakichś dziwnych

niepojętych dźwięków

i nie wiedzieć

czy to tylko

cisza tak dźwięczy

czy to może

rzeka

szmerem trzcin

wabi

usiąść przy ognisku
i do świtu patrzeć
jak niebo rozsiewa
pył gwiazdny
przedziwny
srebrzysty

nad ranem
ruszyć
w dalszą drogę
na spotkanie
jeszcze piękniejszych
obrazów ciszy

W STRONĘ CISZY

Idziesz nadrzeczną ścieżką
w stronę
pławiącego się w czerwcowym słońcu
miasta

idziesz powoli
onieśmielony współczującymi spojrzeniami
opalających się kobiet
znikąd
i bezimienny

wiem
nikt nie kazał ci
być włóczęgą
zostawić garnitury
białe koszule
posadę
meble
książki

twoje bose stopy
krwawią
unosisz je wysoko
ponad trawy

nie czujesz bólu

idziesz szczęśliwy

w stronę

obierającej kręgiem

jak rana

ciszy

OSTROŻNOŚĆ

Byłem
bezimiennym
wędrownym
szczęśliwym
na swojej ścieżce
wolnym
z zazdrości
oskarżono mnie
o włóczęgostwo
stałem się czujny
i ostrożny
od roku
chodzę tylko nocami
i na palcach

NIEDZIELA W NOWYM OSIEDLU

Niedziela w nowym osiedlu
zaczyna się po godzinie dziesiątej
zaraz po teleranku
i mszy
w radio

najpierw z mieszkań wychodzą
śliczne młode matki
z naręczami pieluch
przez chwilę stoją nieruchomo
rozmarzone
jakby porażone wspomnieniem
tamtych
minionych niedziel

pośród bloków
po chodnikach
i placach
młodzi tatusiowie
uganiają się za rowerkami
ochuchują
zranione łokcie
i kolanka

powoli

wszystkie skwery
zamieniają się w sale posiedzeń
a ławki
w mównice

nawet brzuchaci faceci którym
było i jest
wszystko jedno
porzucają mycie
swoich pięknych
lśniących samochodów

dopiero nawoływanie żon
że stygnie już świąteczny rosół
sprawia
że przerywają debaty

po obiedzie
rodzinny spacer
wąwozami
w stronę odległego Starego Miasta
na lody i oranżadę

plotki przy kolacji
że Kowalski
wszystko załatwić potrafi
a ty
fajtłapa

potem dziennik
nowe wojny

głody zamachy
sen

krótko trwa niedziela
w nowym osiedlu

zbyt długo
ciągnie się szarymi
zmęczonymi godzinami
zwykły dzień



SPIS TREŚCI

| | |
|-------------------------------------|----|
| Pod powieką | 5 |
| Czerwcowy zmierzch | 7 |
| Cienie | 8 |
| • Papierówki | 10 |
| Widziałem | 12 |
| Moje gospodarstwo | 14 |
| Liryczna noc | 16 |
| Rozpacz chlebowego pieca | 18 |
| Jabłonka | 19 |
| Powódź | 20 |
| Listopad | 21 |
| Grusze | 22 |
| Wciąż razem | 24 |
| • Żal | 25 |
| Do Marii | 27 |
| Piknik | 30 |
| Zegar | 31 |
| Liść | 32 |
| Snił że wraca | 34 |
| Biały samochodzik | 36 |
| Tamte lata | 38 |
| Moje łąki | 40 |
| Modlitwa | 42 |
| Monolog naftowej lampy | 43 |
| Ognisty ptak | 44 |
| Modlitwa do mojej gwiazdy | 45 |
| Znaki | 47 |
| Fragment życiorysu | 48 |

| | |
|-------------------------------------|----|
| Skrzywienie zawodowe | 49 |
| Że | 50 |
| Samotność | 51 |
| Wigilia 79 | 52 |
| O sobie | 53 |
| Boję się moich snów | 54 |
| Nawet krzyk ptaka | 56 |
| Pytania | 58 |
| Muszę sobie przypomnieć | 59 |
| Przecucie | 61 |
| Wieczorem | 63 |
| Chciałem | 64 |
| Pocztówka z wakacji | 65 |
| Moje miasto | 66 |
| Styczniowa niedziela | 67 |
| Ja włóczęga | 69 |
| Z wędrówek | 71 |
| W stronę ciszy | 73 |
| Ostrożność | 75 |
| Niedziela w nowym osiedlu | 76 |

24
25
27
29
31
32
34
36
38
40
42
43
44
45
47
48

Wielki tydzień
Zal
Do Marii
Płknie
Nęzar
Lise
Sali ze wstac
Białe amochodzik
Tante Jala
Moje luki
Modlitwa
Monolog nallowej lampy
Gniazdo ptak
Modlitwa do mojej gwiazdy
Znaki
Fragment cyklopedy

XIII B
Koz

Henryk J. Kozak urodził się w 1945 r. na Podlasiu. Studia historyczne ukończył w 1969 r. w UMCS w Lublinie. Wiersze publikował w prasie literackiej oraz w antologiach *Twarzą do słońca* (Warszawa, 1973) i *Przebudzenie* (Lublin, 1976). Dotychczas wydał trzy zbiory wierszy: *W krajobrazie łagodnych słów* Lublin, 1973, *Podróże do źródeł* (Warszawa, 1978), *Chwila* (Lublin, 1979). Jest laureatem kilku konkursów poetyckich — m.in. tom *Chwila* został wyróżniony Nagrodą Literacką I stopnia im. Józefa Czechowicza.

„Lektura wierszy Kozaka jest przeżyciem doprawdy odświeżającym po wędrówkach meandrami wykoncypowanych abstrakcji. Autor najlepiej sprawdza się w wierszach o rodzinnej wsi, przyrodzie, życiu i pracy środowiska lat dziecińczych. Potrafi najprostszym poetyckim sposobem, animizacją, nadać wierszowi bezpretensjonalny urok. A przede wszystkim potrafi wyrazić siebie w realiach życia niekoniecznie chłopskiego, uczynić z faktu, zdarzenia, zjawiska, nośnik własnego uczucia i myśli. To już dużo.”

Mirosław Milewski, *Rozterki i niepokoje*.

„Trybuna Ludu” z dn. 8.03.79 r.